



Spektakl „Największy na świecie cyrk marionetek” Teatru Kliniki Lalek podczas XXVII Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Lalek w Opolu, 4 maja 2014 r.

Magik z Kliniki Lalek

To jest teatr, trochę hipisowska komuna, miejsce koncertów, spotkań. Ludzie przyjeżdżają i mówią: „Cześć, jest tu coś do roboty?”. I zostają. Jakby zapomnieli o świecie

TEKST DAWID KARPIUK



przyjezdnych, i napis: „Zwolnij. Smoki nisko latają”.

I

Z WARSZAWY JEDZIE SIĘ TAK: najpierw 350 kilometrów na Wrocław, potem pod samą Legnicę, opłotkami na Gryfów i dalej w dół. W Wolimierzu radio łapie już czeskie stacje.

Marek, który prowadzi pensjonat w 200-letnim domu przysłupowym, mówi, że jak ktoś chce do Czech, to wystarczy przejść przez pole i już. Nie trzeba brać samochodu. A domy przysłupowe to lokalne zjawisko. Nigdzie takich nie ma, tylko na pograniczu.

Stację Wolimierz znają wszyscy w okolicy. Pod sklepem mówią, że dzięki niej okolica jest słynna na cały świat. A Wiktor, szef Stacji, to czarodziej. Chodzi w meloniku, tajemniczy taki. A jednocześnie z każdym pogada, uśmiechnie się. Okolice jest z Wiktora dumna.

Lalki z Kliniki są jedyne w swoim rodzaju: wielkie, surrealistyczne. Kiedy się poruszają na scenie, wydaje się, jakby żyły naprawdę

Szepiej stoi pod drzewem i płacze ze śmiechu. No nie tylko ze śmiechu. Ze smutku też. Ze smutku, bo się wybrał do Wolimierza z dziewczyną na koncert Włochatego i jeszcze się nie zdążył wybrać, gdy go dziewczyna, Miśka, kopnęła w tyłek i powiedziała: „Szepiej, ty jesteś dobry gość, tylko nie normalny, ja już z tobą nie mam siły”.

A ze śmiechu płacze, bo co za zbieg okoliczności. Miśka zawsze mówiła: „Szepiej, weź ty zwolnij, bo się w końcu zagonisz”. Fakt, Szepiej ciągle gdzieś lata i z tego powodu ma kłopoty. No i teraz Szepiej przyjechał do Wolimierza, a tu na drzewie widzi flagę, która wita

Ludzie ze świata do niego przyjeżdżają. Ostatnio były dziewczyny ze Szwajcarii, szwargotały do siebie, chichotały. Przyjemne, uśmiechnięte, do ludzi.

– Trafiliście idealnie – cieszy się ktoś. – Akurat macie wszystko, czym to miejsce jest, i to w dwa dni. A czym jest? Teatrem, komuną jakąś taką hipisowską, miejscem koncertów, spotkań. Ludzie tu przyjeżdżają i mówią: „Cześć, jest tu coś do roboty?”. I zostają. Jakby zapomnieli o świecie. Albo na odwrót.

Wiktor, czyli Wiktor Wiktorczyk, wita mnie w drzwiach Stacji otoczony ludźmi. Ubrany na białe, w meloniku i w sandałach. Jest tu kilkadziesiąt osób i każdy się przy czymś krząta.

Jedni pomagają pakować lalki do dostawczaka (pojadą do Zgorzelca, gdzie w sobotę Klinika Lalek gra spektakl). Inni wypakowują sprzęt, który przyjechał na dwudniowy festiwal Punk Eko Fest. Podłączają lodówkę, ustawiają światła, sprzątają scenę.

– Tu są sami piękni ludzie! – cieszy się Wiktor i zaprasza do środka. Wnętrze stacji wygląda jak z „Alicji w krainie czarów”. Kolorowe ściany, stare meble, sprzęty, drewniane schody, elementy scenografii teatralnej, lalki. – Przyjeżdżają z różnych stron. Jedni zostają na parę dni, inni na dłużej. Gdzie śpią? Tutaj! – Wiktor rozgląda się wokół. – Tu jest bardzo dużo miejsca.

Rzeczywiście: Stacja mieści sporą salę teatralną, pojemne zaplecze, kuchnię i wielką jadalnię, w której można posiedzieć i pogadać albo posłuchać muzyki. A do tego jest jeszcze piętro, na którym może wygodnie mieszkać armia ludzi. I kawał werandy, i altanki, i pole wokół, a w nim różności: namioty, drewniane budyneczki. Nawet bajkowa lokomotywa jest.

Lalki z Kliniki są jedyne w swoim rodzaju: wielkie, surrealistyczne. Kiedy się poruszają na scenie, wydaje się, jakby żyły naprawdę.

Przed wojną mieszkali tu Niemcy. W jednym miejscu jest nawet wyryty nożem w drewnie napis: „12 Juni 1946”. Pewnie akurat wtedy ich stąd wypędzono. – Czasem tu przyjeżdżają – opowiada Wiktor. – Stare dziadki. Cieszą się, że tu teraz teatr. Chodzą po Stacji, zaglądają w każdy kąt i mówią: „Tu się bawiłem, tam biegałem”.

Stokrotka pierwszy raz przyjechała tu 15 lat temu. Od tej pory wraca. Nie ma czasu gadać, bo idzie z ludźmi na Crazy Bridge obejrzeć zachód słońca. Crazy Bridge jest niedaleko Stacji i pięknie z niego widać zachody. A po zachodzie lepiej się rozmawia.

– Słuchaj – zagaduję Wiktora. – A ty coś od tych ludzi chcesz?

– Nie – dziwi się. – Dlaczego?

– To co oni tu robią?

– Są po prostu. Żyją. Kochają się, poznają się, żegnają. Pomagają. Tu zawsze jest coś do roboty. Czasem pomagają

przy teatrze, coś tam zapakują, coś rozładują. Gdzie mogą, to pomogą.

– Brzmisz jak guru. Taki z sekty.

Wiktor wybucha śmiechem. – Pamiętam jak dziś – opowiada. – Dzieckiem jeszcze byłem, stałem z kolegami przy gofrach, patrzyłem, jak dorośli gdzieś się spieszą, gdzieś pędzą. Przyrzekliśmy sobie kiedyś, że nigdy nie będziemy takimi okropnymi dorosłymi jak oni.

II

POMYSŁ NA TEATR ZRODZIŁ SIĘ gdzieś około 1988 r. Wiktor Wiktorczyk był wtedy na pierwszym roku Wydziału Lalkarskiego PWST we Wrocławiu. – Teatr mnie fascynował – mówi dziś. – Podziwiałem Kantora, Szajnę, Hasiora. Najbardziej pociągało mnie nie granie, nie aktorstwo, metody, tylko magia figur, lalek. To wszystko, co można dzięki nim stworzyć, zobaczyć, podróżować, w jakie można się w takim innym teatrze wyprawić.

A z Hasiorem to Wiktorczyk kiedyś pracował. Przypadli sobie do gustu. Hasiorek napisał potem ciepło o Klinice Lalek. Że wspaniałe miejsce, wyjątkowe, ważne.

Pierwsze spektakle twórcy Kliniki zrealizowali jeszcze na studiach, m.in. „Gdzie jest twoja róża?” na podstawie „Małego księcia”. W 1991 roku postanowili stworzyć teatr na opuszczonej stacji kolejowej.

– To była ruina – mówi Wiktorczyk. – Chcieli to zrównać z ziemią, aktorzy z całej Polski bronili. A zresztą my mieliśmy być tu tylko na chwilę, a zobacz: obchodzimy 30-lecie teatru i 27 lat Stacji.

Klinika Lalek jest teatrem wędrownym. Zjeżdżała całą Polskę i nie tylko. – Pojechaliśmy do Edynburga, zagraлиśmy 30 spektakli w 30 dni – mówi Wiktorczyk. – Wszystkie wyprzedane.

Szkotom się lalki z Kliniki bardzo spodobaly. Przychodzili z dziećmi, dzieciaki były zachwycone. A zresztą, zamyśla się Wiktor, teatr dla dzieci to jest to.

– Dziesięć lat temu pojechałem do Wrocławia otworzyć teatr dla najmłodszych – opowiada. – W mieście było jakieś sto tysięcy dzieci i tylko jeden Teatr Lalek. A przecież dzieciaki są najbar-

dziej otwarte na sztukę. Czy to jest Piotruś Pan, czy Zaczarowana Lokomotywa, przeżywają to. Czasem wystarczy, że dziecku zaszerwujesz parę dźwięków na wiolonczeli i mu zaszczepisz wrażliwość na piękne rzeczy.

Włoch Alessio uwielbia te dziwne, wielkie lalki z Kliniki. Wyglądają, jakby miały w sobie... Alessio sam nie wie. Coś magicznego. Ma 28 lat, na Stacji mieszka 24. dzień. Chce zostać do końca lata. – Przyjechałem z przyjaciółmi, przylecieliśmy do Gdańska – opowiada.

Wiktor to jest czarodziej. Chodzi w meloniku, tajemniczy taki. Okolica jest z Wiktora dumna. Ludzie ze świata do niego przyjeżdżają

– Ale nie kupiłem sobie biletu powrotnego. Najpierw byłem nad morzem, potem w Warszawie, potem się zgubiłem we Wrocławiu. Włóczyłem się bez sensu, aż w końcu powiedziałem sobie: „Weź się do jakiejś pracy!”. Usłyszałem o tym miejscu i pomyślałem, że może warto je zobaczyć.

Alessio chciałby być dziennikarzem. Ale po polsku nie gada, a Włochy mu się znudziły. – We Włoszech nie ma za wiele możliwości. Co innego tu. Polska jest dobra dla ludzi, którzy chcą zacząć od nowa. Możesz wymyślić siebie od początku. A już zwłaszcza tu, na Stacji. Tu dopiero człowiek się może od nowa wymyślić.

– To jest takie abstrakcyjne miejsce – uśmiecha się Wiktorczyk. – Przyjemnie popatrzeć, jak pięknie się rozwija. Przyjeżdżają nowe generacje, dzieci zaczynają tu dorastać. Dwa tygodnie temu było tu wesele mojej córki.

Na słowa o weselu Alessio się ożywia: „Ależ piękne! Musisz zobaczyć zdjęcia!”.

– Musieliśmy wszystko przygotować, przystroić – opowiada. – Cudownie!

Marta ma na drugie Nadzieja i coś w tym jest, bo zawsze ma nadzieję, że będzie dobrze. Rocznik ’95, studiuje dziennikarstwo w Opolu, a w czasie festiwalu serwuje piwo. Wychowała się niedaleko Wolimierza.

– Przychodziłam do Kliniki, gdy byłam nastolatką – mówi. – Na początku nawet nie wiedziałam, że tu jest teatr. Dla ludzi z okolicznych wiosek to jest megamiejsce: możesz przyjść, pogadać z ludźmi z całego świata. Opowiadają ci, jak żyją, co robią, co się dzieje na świecie. Teraz siedzę w Opolu i tam też ludzie kojarzą Wolimierz. Niesamowite, jak wieść o tym miejscu rozchodzi się od osoby do osoby.

III

– CHOCIAŻ ŻYCIE NAM DOSKWIERA i nadzieję wciąż odbiera, chociaż czasem jest nam źle, ja i tak uśmiecham się – śpiewa Dziki z Sieradza i z całej siły wali w rozklekotaną gitarę, a jego kumpel Jednorożec kiwa głową i podnosi do góry tabliczkę z napisem: „Zbieram na bilet”.

Dziki siedzi pod bajkową lokomotywą i uśmiecha się szeroko, choć piosenki śpiewa smutne: o tym, że alkohol to zguba i że on, niestety, znalazł się w wyniku spożycia na dnie. Jest piątek rano, a do Kliniki zjeżdżają punki. Za parę godzin zacznie się Punk Eko Fest. Grają m.in. Włochaty, Ga-Ga Zielone Żabki, TZN Xenna. To już druga edycja, na zeszłorocznej bawiło się jakieś 700 osób, a Klinika Lalek zmieniła się z teatru w mini-Jarocin. I to w starym stylu, jak w latach 80.

Festiwal wymyślił Teo. Oryginalnie z Lubania, z punkowego undergroundu. Piętnaście lat temu zamieszkał z rodziną po sąsiedzku.

Zaprzyjaźnił się z Wiktorem, zakochał w Klinice. – Uwielbiam ten artystyczny entourage, tę magię – uśmiecha się szeroko. Teo to duży gość, potężny, z pieszczochą na nadgarstku i wielkim łańcuchem przy portkach. Z twarzy i z głosu chodząca łagodność. Wychował się na Jarocinie, pierwszy raz był tam w 1985 roku. W zeszłym roku sam grał

na Eko Feście ze swoim zespołem Pinokio Alternative.

– Kiedyś po naszym koncercie znajomy rzucił, że nic się w tej naszej okolicy nie dzieje – opowiada Teo. – Że może by coś zrobić na punkowo. I od razu mówi, że jakby co, to on daje tysiąc złotych.

Na to się odezwał ktoś inny, że daje drugi tysiąc. A Teo robi imprezy od lat 80., wie co i jak. Poszedł do znajomego i mówi: „Co byś powiedział, jakbyśmy zrobili tu punkowy festiwal?”. A on od razu mówi, że daje 500 złotych. Teo ma pracownię stolarską, też wyłożył ze swoich. Dwa tygodnie później kapele były już obdzwonione. I to te najstarsze, zasłużone: Karcer, The Bill, Moskwa, Zwłoki.

– Liczyliśmy na może 200 osób publiczności – opowiada Teo. A było pod 700. Jak na realia punkowego podziemia gigantyczna publiczność.

I tak Klinika Lalek stała się kliniką punkową.

– Z Pinokio Alternative pożyczaliśmy od nich lalki na koncerty. One są niesamowite, nadnaturalne. Jak one są w ruchu, te wielkie postaci, to jest czysta magia. A Wiktor? Wiktor to taki magik, on wszystkich potrafi zaczarować. Piękna postać.

IV

SZEPIEJ ZGUBIŁ KASĘ, teraz się włóczy po terenie i zbiera na bilet, bo co prawda udało mu się prześlizgnąć obok bramkarza, ale wrodzona uczciwość nie pozwala mu tego tak zostawić. Jak zbierze, to wróci, przeprosi grzecznie i wyłoży te trzy dyszki.

Jest późne piątkowe popołudnie. Punky grają tak głośno, że aż szklanki się trzęsą w Klinice. Tłum gęstnieje.

Szepiej się rzucił w pogo jak Radcu-rie grali, bo grają światowo, z kopem i co najważniejsze z przekazem. A teraz się włóczy. Trochę mu żal, że Miśka tego nie widzi. Bo jak ktoś pomyśli „klinika”, to może mu się skojarzyć, że dla wariatów. Ale ta Klinika Lalek to co innego. Szepiej jak tu jest, to czuje, jakby był w jakiejś zaczarowanej, cholera, krainie. Jak dziecko. **N**